

Kilka tygodni temu na lotnisku w Jackson, stan Mississippi, doszło do poważnego incydentu. Nic wszakże nie wybuchło, nawet nie ewakuowano terenu lotniska, a jednak Stany Zjednoczone (a ściślej ich służba bezpieczeństwa tj. „Homeland Security Service”) – zaliczyły następny skandal. Tym razem chodzi o naruszenie immunitetu ambasadora. Tym ambasadorem okazała się kobieta pani Meera Shapur reprezentująca nie mniej ni więcej tylko półmiliardowe Indie. Oto wracając do Waszyngtonu z jakiegoś seminarium naukowego na jednym z południowych uniwersytetów została ona na lotnisku najpierw „przepuszczona” przez specjalną bramkę rozbierającą na ekranie delikwenta z odzieży, a potem (jakby nie dość tego despektu), agentka ochrony dokonała ręcznego przeszukania dyplomatk. Do rewizji osobistej już nie doszło bo tożsamość pani Shapur i jej stanowisko wyszło na jaw. Jak się potem tłumaczono, wszystkiemu była winna hinduska, powłóczysta szata zwana „sari”. To fakt, że ochroniarze nie grzeszyli ani zbytnia wyobraźnią, ani kurtuazją. Widocznie na tamtym prowincjonalnym lotnisku czujność polega na prewencyjnym obmacywaniu każdego pasażera, który ma na sobie za dużo ubrania. Pomimo faktu, iż następnego dnia szereg głównych urzędów amerykańskich zostało zalanych protestami rządu Indii, jak też innych organizacji, wydaje się, że czasy w nieograniczonych przywilejów dla dyplomacji odchodzą zwolna w przeszłość. Jeszcze jedno tabu cywilizacji zachodniej zostało poważnie nadwyręzione.

Temat nie poruszania kwestii delikatnych, nie szargania świętości, przestrzegania konwenansów, a przynajmniej dobrych manier jest tak stary, jak ludzka cywilizacja. Jednak trudno rozstrzygnąć czy lepiej wychowani byli Chińczycy na wschodzie starożytnego świata czy może Grecy na zachodzie. Jedni o drugich wiedzieli na pewno niewiele. Świat wówczas wydawał się dla większości prosty i uporządkowany: praca, praca, praca - od świtu do nocy, a pozostały okrusz czasu wypełniał odpoczynek, wychowywanie potomstwa oraz takie czy inne obrzędy religijne. Jedynie niewielkie kasty filozofów czy kapłanów mogły sobie pozwolić na luksus teoretyzowania. Przestrzeganie lokalnych „tabu” oznaczało w praktyce poddanie się wyrokom bożym. To co nazywamy dziś kulturą było włączone w lokalne wierzenia religijne i taki stan wydawał się naturalny. Aż tu raptem w wieku osiemnastym i dziewiętnastym kultura, nauka i religia zaczęły się rozdzielać i niebawem każda dziedzina poszła swoją drogą. Ale cóż się okazało? Potrzeba aby mieć w życiu coś nienaruszalnego, coś czego wartości nikt nie śmie podważać – okazała się silniejsza u większości ludzi. – obojętne bardzo czy mało wierzących. W wiktoriańskiej Anglii czy w habsburskim Krakowie lub Lwowie zapanował żelazny kodeks dobrych manier, towarzyskie konwenanse i zwykłe mieszczańskie przesady. Teraz budzą one u niektórych westchnienie żalu, a niektórych tylko śmieszą. Pamiętam czasy kiedy przed wrotami kościołów polskich mężczyźni często zdejmowali czapki i kapelusze. Potem wraz z nastaniem mody na dzinsy i krótkie kurtki większość czapek w Polsce pozniknęła. Nie było zatem czego zdejmować, ale też i sacrum jakby potaniało. Choć nie we wszystkim. Do dziś, mówienie źle o zmarłych czy o bliskich członkach rodziny jest źle przyjmowane w kulturze polskiej. Inne zwyczaje np. całowanie pań w rękę jest w kilku zakątkach Europy już tylko gestem nieobowiązkowym podkreślającym szacunek lub ciepłe uczucia do danej osoby. Reszta z dawnej mieszczańskiej „kindersztuby”, szurnięcie nogą czy dygnięcie na imieninach u cioci – to wszystko odeszło w niebyt.

Jednak nadal szereg żelaznych „tabu” (zwłaszcza w krajach, z trudną historią) ma się całkiem dobrze. Czujemy to kiedy nasz rozmówca ciągle podkreśla swój patriotyzm,

demonstruje cześć dla sztandaru i symboli narodowych, przywiązanie do swojego wojska, a nawet swojej drużyny hokejowej czy piłkarskiej. Wydaje się, że nadal w krajach takich jak Polska, Turcja czy Serbia miliony obywateli chcą od życia czegoś więcej niż tylko pełnej miski. Dla takich ludzi miłość ojczyzny nie jest jakąś wydumaną teorią; bycie patriotą - to jest pewnik, absolut i konieczność życiowa. Dla tak myślących Amerykanów i Australijczyków Julian Assange bohater najnowszego skandalu internetowego Wikileaks jest wyrzutkiem społeczeństwa, zdrajcą, a co najmniej człowiekiem bez ojczyzny. Jak się zdaje, z tym ostatnim zarzutem pan Assange zgodziłby się natychmiast. Zresztą na Zachodzie w wielu kręgach odwoływanie się do cnót patriotycznych jest uznawane za coś wstydliwego. Taka postawa nie jest od dawna w modzie, choć kto wie - być może napór imigracji muzułmańskiej może ten stan rzeczy zmienić. Przypomnijmy, że dawny anarchista i sympatyk niemieckich terrorystów spod znaku Frakcji Armii Czerwonej w latach sześćdziesiątych Joschka Fischer po przekroczeniu czterdziestki stał się (o dziwo) niemieckim patriotą, a nawet ministrem spraw zagranicznych. Czy grozi to samo kiedyś Julianowi Assange, o ile tylko przeżyje tych kilka najbliższych lat? Tego nie wie nikt. Gorzej, że wykradanie tajemnic państwowych jest traktowane w tutejszych kręgach (np. w Quebecu) albo jako walka z cenzurą albo jako świetny kawał. Czy nazwiemy takich ludzi cybernetycznymi Robin Hoodami czy nową Piątą Kolumną – i tak nikt dużo uwagi temu nie poświęci. Świat bowiem kręci się w zawrotnym tempie. W wielu krajach tradycyjnego Zachodu „tabu” lojalności dla ojczyzny legło w gruzach. Wygląda na to, że hippisi szyjąc sobie obcisłe spodnie z gwiazdzistego sztandaru wskazali drogę następnym pokoleniom. Niestety w swej naiwności wielu zachodnich pięknoduchów zapomina, że jest sporo miejsc na Ziemi, w których zamiast tej brzydkiej demokracji liczy się wola lokalnego satrapy, takiego jak np. Hugo Chaves w Wenezueli czy Kim Jong-Il w Korei Północnej. No, ale dla lewackich mediów liczy się w ocenie tych dyktatorów ich niepodważalny antyamerykanizm.

Jest w ludzkiej naturze jeden taki zakątek, którym zainteresowano się przed ok. stu laty, kiedy austriacki psychiatra żydowskiego pochodzenia Zygmunt Freud odkrył i wyciągnął na światło dzienne inne ludzkie tabu – s e k s, potężną siłę drzemiącą w ludziach, szalenie dwuznaczną, bo zdolną do wyzwolenia w nas pozytywnej energii, lecz niestety także zniszczenia nam życia. Śmiem twierdzić, że owo oddzielenie erotyki od miłości dało po kilku dekadach eksperymentowania rezultaty co najmniej dwuznaczne. Nie jest wcale pewne, że jesteśmy szczęśliwsi niż nasi pradziadkowie i prababcie żyjący w rytmie natury i kładący się spać o zachodzie słońca. Chyba ostatnim i niepokonanym tabu ludzkości jest do dziś – ś m i e r ć – ten biologiczny kres naszego istnienia, a dla bardzo wielu także brama wiodąca w inną rzeczywistość. Nie pora teraz aby spierać się o szczegóły. Choć niektórzy teologowie, artyści i szarlatani próbowali oswoić ludzi z faktem kruchości ziemskiego istnienia to jednak oszałamiających rezultatów raczej nie odnieśli.

Zaczyna się Nowy 2011 Rok. Właśnie zaczyna się karnawał, którego radość zostanie jednak nieuchronnie przyćmiona nadejściem Wielkiego Postu. Cykl losu ludzkiego podsumowano niegdyś w piosence rockowej. „Co idzie ku górze musi wrócić na dół. Kołowrotek musi kręcić się dalej”. Pomni tego faktu skorzystajmy z rady ks. Twardowskiego i „spieszmy się kochać ludzi – tak szybko odchodzą”. Zupełnie niezależnie od świąt państwowych i kościelnych.

Michał Stefański